

665  
**RECENZJA**

**BOŻENA  
CIECIERSKA**

## Lepiej nie otwierać...

Przeżyli razem kawał życia. Mają prawie dorosłe dzieci. Właściwie mieli. Został im już tylko syn. Córka popełniła samobójstwo. Dlaczego? Przecież miała wszystko. Dlaczego?

Zadają sobie nawzajem to pytanie. Oskarżają siebie, szukają winnych na zewnątrz. Piorą swoje brudy nabitane przez dwadzieścia lat wspólnego życia. Nie ruszane, nie przewietrzane, obwarowane układami o tolerancji, partnerstwie, nieingerencji, neutralności. Zauważają nagle, że toleracja przerodziła się z czasem w obojętność, neutralność — w osamotnienie. Okazuje się, że żyli we czworo obok siebie, nie zdając sobie sprawy, że już dawno się nie znają. Siebie nawzajem, swoich dzieci, swoich problemów. Jak to się stało?

Niestety, niczego się tu więcej nie dowiadujemy poza kilkoma oczywistymi prawdami. Że nie o dobra materialne wyłącznie dbać należy, że więź uczuciowa w rodzinie to rzecz najważniejsza, że wieczny pośpiech to nie dobro, a dzieci bywają wrażliwe i potrzebują rodziców nawet wtedy, kiedy są bardzo samodzielne i z tej samodzielności zadówolone.

Upraszczam? Oczywiście, upraszczam, ponieważ czuję niedosyt przy tego typu tematyce, tzw. życiowej. Sztuka Choińskiego jest jak wielka dziurka od klucza, do której można przyłożyć oko i ucho, napaść się cudzym nieszczęściem, cudzymi nieporozumieniami, osiągnąć pełną satysfakcję płynącą z faktu, że to, co przytrafiło się im, nie przytrafiło się mnie.

Na scenie toczy się dialog pełen tzw. małego autentyzmu. Wszystko jest jak dokładna kopia życia. Tak się kłócą — doprowadzeni do ostateczności, wyprowadzeni z równowagi — moi koledzy, koleżanki, być może ja sama oraz wiele jeszcze nie znanych mi osób w średnim wieku z inteligentnego środowiska w drugiej połowie wieku

XX. Choiński dał tu dokładny adres, choć z powodzeniem rzecz mogłaby się dziać wszędzie i nigdzie. Dając zaś ten adres, jednocześnie swoją sceniczną rodzinę wyizolował z życia społecznego. Oni mają problemy ze sobą, przyczyn śmierci dziewczyny szukają w życiu domowym, w sferze przeżyć zwanych intymnymi. Przyczyn własnej samotności szukają również wokół siebie. Tuż obok. Ich horyzont wydaje się także ograniczony przez dziurkę od klucza. Klucza do wygodnie urządzonego domu, w którym już nigdy nie będzie można normalnie żyć. A przynajmniej nieprędko.

Otóż tego właśnie nie jestem pewna. Choiński nie mówi jak dawno to się stało. I wcale nie musi. Sądząc jednak z tego, że ojciec, szukając prawdy, po raz pierwszy poszedł do szkoły, do chłopca, z którym ostatnio przyjaźniła się córka, wynika, że dramat jest świeży. Tymczasem miara tej małżeńskiej awantury, jaką oglądamy na Małej Scenie Powszechnego, i miara sprawy, która stała się tej awantury przyczyną, wydają się niewspółmierne. Wielka tragedia, jako przyczyna niedużej scenki małżeńskiej, która mogłaby się również wydarzyć z powodu przypalonego kotleta, ponieważ nigdy nie wiemy, co w nas wyzwoli nagle demona.

Doskonale aktorstwo. Kępińskiej i Herdegena pogłębia jeszcze wspomnianą dysproporcję. Dialog prowadzony jest czysto, raczej na ściszeniach, z kilkoma niewielkimi kulminacjami, kiedy aktorzy biorą wysokie C, żeby potem znów przejść od krzyku do zmęczenia, rezygnacji, bezradności. Są niezmiernie prawdziwi w reakcjach, w działaniu, w codziennych domowych czynnościach, jakie wykonują. Nie ma między nimi pustych spojrzeń, nie ma słów, zdań nie odbitych przez partnera. Wszystko zazębia się doskonale i doskonale do siebie pasuje. Wszystko — oprócz faktu, że dwoje ludzi, których córka z niewiadomych przyczyn wyskoczyła przez okno, w kilka dni, może tygodni, po jej śmierci potrafi tak dokładnie zająć



Na zdjęciach Elżbieta Kępińska (Ona) i Leszek Herdegen (On)

się sobą. Można im tylko zazdrościć.

Choiński ustawia sytuację świadomie, jak sądę. Przecież w pewnym momencie któreś z małżonków mówi: „zdawało nam się, że mówimy o niej, a ciągle gadamy o sobie...” Ale czy świadomie założył w życiu uczuciowym swoich bohaterów aż taką wielką oziębłość? Prawie potworność?

Wiem — to nie jest sztuka o młodocianej samobójczyni ani o jej nieszczęsnych, pozostawionych na pastwę wyrzutów sumienia rodzicach, ale o niemożności porozumienia między ludźmi. Nawet tymi — najbliższymi sobie. Przynajmniej pozornie najbliższymi.

Do końca nie dowiemy się niczego więcej. I o żywych, i o martwej dziewczynie. Jej czyn pozostanie bez komentarza. Pro-

blem nie jest przecież jednostkowy, choć w scenografii Marcina Stajewskiego ów znaczący okienny parapet wychodzi na plan pierwszy, czasem nawet przed aktorów; natrętne, monumentalne, niemal realistyczne okno, zbudowane właściwie w próżni, bo przecież Mała Scena nie ma sceny, ciąży nad całą sztuką, jak memento. Cokolwiek byśmy powiedzieli i mądrzyli się na temat i obok tematu, to w ostatecznym rachunku ważne jest okno. Przez które, dla niewiadomych przyczyn, wyskoczyła siedemnastoletnia dziewczyna.

Wróżę tej sztuce, reżyserowanej przez Janusza Bukowskiego, powodzenie. Jest jak rubryka „Między nami”, jak „Kulisy serc ludzkich” i temu podobne. Od nich zaczyna się przecież czytanie czasopism. Na nich się na szczęście nie kończy.



Teatr Powszechny (Mała Scena) w Warszawie: OTWÓRZ DRZWI Krzysztofa Choińskiego. Reżyseria: Janusz Bukowski; scenografia: Marcin Stajewski (fot. J. Fedak)